Kraków, 14-go Września 1907 r.

Rok 3. Nr. 19

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do Nr. 37 „Prawdy.“

ŻAK KRAKOWSKI.

POWIASTKA Z CZASOW KAZIMIERZA WIELKIEGO.

Po śmierci Władysława Łokietka na tron polski wstąpił syn jego Kazimierz Wielki (1333—1370). Po ciągłych walkach, Polska potrzebowała spokoju, odpoczynku, to też król zawarł naprzód pokój z Czechami i Niemcami. Czechom oddał Śląsk, Niemcom — Pomorze. Straciliśmy dwie ważne prowincye, lecz zato Polska uspokoiła się i zakwitła. W 1340 roku Kazimierz przyłączył do Polski Ruś Czerwoną, czyli Galicyę.

Król ten, za ojcowską opiekę nad kmieciami, nazwany „Królem chłopów“, wydał zbiór praw, obowiązujących wówczas w kraju, zwany statutem Wiślickim. Dnia 12 maja 1363 r. założył Akademię w Krakowie.

Umarł bezdzietnie. Na nim skończyła się dynastya Piastowska, która około 500 lat panowała w Polsce.

W środku Krakowa, przy kościele Panny Maryi, stał wielki dom drewniany. Codzień od rana rozbrzmiewał on gwarną rozmową dziatwy i młodzieży. Była to szkoła.

Dzień był ciepły, majowy. W południe, po obszernym dziedzińcu za szkołą uganiały się gromady uczących się niedorostków zwanych żakami. Niektórzy z nich jednak wyglądali już prawie na ludzi dorosłych. Ubrani byli rozmaicie: jedni dostatnio, a nawet bogato, w sukien-

nych kaftanach, w bławatach*), drudzy biednie, w płóciennych świtkach.

Mieszczańskich synów więcej tu było, niż szlacheckich; szlachta wogóle niechętnie garnęła się w owe czasy do nauki, część uczyła się w domu, bogatsi panowie wysyłali swych synów za granicę.

Wśród żaków, zajętych figlami i psotami, stał chłopiec średniego wzrostu, w skromnej odzieży, o mądrem i szczerem spojrzeniu. Twarz jego była spalona od słońca, a włosy miały kolor dojrzałego żyta.

Ciekawie rozglądał się dokoła, przypatrując się swym towarzyszom i nie przyjmując udziału w hałaśliwej zabawie. Nagle ktoś silnie uderzył go po ramieniu.

— Cóż tak wytrzeszczasz gały? — pytał go zgrabny chłopiec, którego żywe czarne oczy śmiały się wesoło do całego świata.

— Psyglądam się — bo mi tu nowina.

— A dawnoś przybył?

— Od wcora.

— A skądeś to?

— Z Warsawy.

— Z Warszawy? — powtórzył zdziwiony chłopiec — a gdzie to jest ta Warszawa?

— Na Mazowsu, hen, daleko.

— Ojej! Toś ty aż z Mazowsza?

— A ino.

— Nic dziwnego, nawet w mowie zatrącasz z mazowiecka. Ałem o Warszawie nic nie słyszał; o Płocku to wiem.

— Ho, ho! — odpowiedział Mazur, — Płock to wielki gród, nasz książe tam mieska. A jak popłynies wodą po Wiśle od Płocka do Krakowa, to po drodze, niedaleko od Płocka, będzie Warsawa. Niewielki gródek.

Wesoły chłopiec machnął ręką z lekceważeniem.

— Ej, co tam wasza Warszawa, a choćby i Płock! Zawsze to nie nasz Kraków.

— A juści — rzekł z przekonaniem jego towarzysz.

*) Sukno błękitnego koloru, bardzo drogie w owych czasach.

Nie domyślali się obaj, że ta lekceważona przez nich Warszawa będzie później dorównywać Krakowowi, że będzie nawet stolicą Polski.

— A pocóżeś tutaj przybył? — spytał znowu chłopiec.

Mazur nie zdążył odpowiedzieć, gdyż otoczyła ich gromada żaków, krzycząc głośno:

— Mazur, Mazur, daj nam na żur!

— Mazur, Mazur, daj nam na żur!

— A po łacinie umiesz, kiedyś do nas przyszedł? — spytał jeden z żaków, Jurko, ciągnąc chłopca za świtkę.

— A diacegozby nie? — odparł ten z dumą.

— Powiedz co, powiedz, po łacinie! Może się tylko chwalisz po próżnicy! — zawołał Jurko.

Chłopcy zamilkli, czekając, co im Mazur powie. Ten uśmiechnął się i wskazując ręką na Jurka wyrecytował szybko.

— Hic *) stoit bąkus uprzykzonus!

Wesoły śmiech rozległ się dokoła. Jurko poczerwieniał ze złości.

— No, jeszcze co? — wołali chłopcy rozweseleni.

Mazur milczał.

— Aha! nic więcej nie umie! — zawołał Jurko.

Mazur brwi zmarszczył.

— A juści — rzekł rozgniewany. — Ecce est **) chłoptus głuptiosus!

Jurko zawstydzony chciał się nań rzucić z pięściami, lecz towarzysze, śmiejąc się, odciągnęli go na bok, wołając wesoło:

— Toś ty bąk uprzykrzony! Chłopiec głuptasek! Bąk uprzykrzony!

Mazur tymczasem zwrócił się do chłopca, z którym przed chwilą rozmawiał.

— Jak się nazywasz? — spytał.

— Spytko — odpowiedział chłopiec. — A ty?

— Bartek. Rodzice mnie odumarli, przyjechałem tu do stryjca. Jest w Krakowie płatnerzem.

---

*) Hic — tu. **) Ecce est — oto jest.

— A mój ojciec jest sukiennikiem — przerwał mu niecierpliwie Spytko. — No chódź na miasto! Pokażę ci zamek na Wawelu, który król Kazimierz z kamienia wystawił.

— Ej, Spytek! A do szkoły nie pójdziesz? Co powie bakałarz?

Spytko machnął ręką. Wyszli na ulicę.

— Mówią, że dobry jest wasz król Kazimierz — rzekł Bartek po chwili milczenia.

— A jakże! — odpowiedział Spytko z ożywieniem, — nazywają go „królem chłopków“, bo się za chłopami ujmuje, nie da żadnemu krzywdy zrobić.

— Stryjcio mój pomstuje okrutnie na króla, że wojny, jako jego rodzic Łoktek, nie lubi, że wrogowi oddał Śląsk i Pomorze...

Ostatnie słowa Bartka usłyszał jakiś człowiek niebogato odziany, który już od paru minut ciekawie przypatrywał się chłopcom.

— A wiecie wy, dlaczego król wojny unika? — spytał, stając przed nimi.

Chłopcy spojrzeli nań zdziwieni.

— Czego chce od nas ten nieznany człowiek? — szepnęli do siebie.

— A dlacego — spytał ciekawy Bartek.

— Dlatego, odpowiedział nieznajomy — że król Łoktek z mieczem w ręku polepił z kawałków, z różnych dzielnic tę koronę polską. Gdyby Kazimierz, zamiast wzmacniać ją w pokoju, zaczął wojować, mogłaby ona rozpaść się znowu na drobne kawałki. Myślicie, że królowi nie żal Pomorza i Śląska?

Tu brwi nieznajomego ściągnęły się z bólu, a oczy patrzyły w dal.

Chłopcy z uwagą przyglądali się jego twarzy, nacechowanej wielkim rozumem, dobrocią, powagą i jakby królewską dostojnością.

— Et! — odezwał się Bartek, — stryjco dlatego chce wojny, że jest płatnerzem, miecze i zbroje kuje. Toć to wiadomo, że wasz Kazimierz ślicznie gospodaruje, ale miecze za to leżą.

— A dlaczego mówisz wasz, a nie nasz? — spytał nieznajomy.

— Bom Mazur, więc mi wasz Kazimierz nie jest królem.

— Wiecie! — zawołał Spytko z zapałem — powiada naród, że „król Kazimierz zastał Polskę drewnianą, a zostawi murowaną,“ tyle kościołów, zamków i grodów pobudował.

Twarz nieznajomego zajaśniała radością. Spytko zaś ciągnął dalej:

— Handel przy nim się wzniósł, ustanowił jarmarki w różnych miastach, drogi kazał naprawiać, mosty budować. Sprawiedliwie go „ojcem narodu“ nazywają.

Bartek zamyślił się.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jak listki pracują.

Na krzaku rozwinął się tej nocy nowy młodziutki listek. Blady jeszcze, pomarszczony, tulił się do gałązki. Na listku widać sieć drobnych niteczek, rozchodzących się od środkowej grubszej nitki na wszystkie strony. Te nitki to żyłki rośliny, podobne do tych jakie są w naszem ciele. U nas w żyłach płynie krew, u roślin sok, który korzonki wyciągają z ziemi i rozsyłają wszędzie do najmniejszej gałązki, do najmniejszego listka. Przed paru dniami upadł deszcz i listek czuł się doskonale, coraz więcej sił mu przybywało. Musiał się też zabrać do roboty. Listki pomagają korzonkom w dostarczaniu pożywienia dla roślinki; korzonki zabierają pokarm z ziemi, listki z powietrza. Maleńkiemi szparkami, które są na odwrotnej stronie listka, niby ustami, wciągają z powietrza niektóre gazy. I nasz młodziutki listek wyprostował się, rozchylił usta i wciągnął cząstki powietrza, dumny z tego, że i on pracuje, że jest innym pożyteczny.

RANNY PTASZEK.

Jakiś to tam ranny ptaszek,
Po ogrodzie, wśród igraszek,
Za drugiemi żwawo goni,
A tak dziwnym tonem dzwoni?
Dziń! dziń! dziń!

Ni to słowik, ni skowronek,
Bo gdzież piórka, dziób, ogonek?
Zamiast skrzydeł z boku ręce,
A i nóżki nie ptaszęce,
Dziń! dziń! dziń!

Oj! ten figlarz, ranny ptaszek.
Ten zuch mały, zwie się Staszek.
Frunął sobie zdrów i hoży,
Wprost z łóżeczka, na świat Boży.
Dziń! dziń! dziń!

Dziś tak cudnie słonko świeci,
Więc chce zbudzić inne dzieci,
I w zawody ze skowronkiem,
Wciąż powtarza swoim dzwonkiem:
Dziń! dziń! dziń!

— Wstajcież! bo kto rano wstaje
Temu dobry Pan Bóg daje
Zdrowe myśli, zdrowe ciało.
Czyż to mało? czyż to mało?
Dziń! dziń! dziń!

— Wstajcież! wstanie się opłaci,
Bo kto zaśpi, ranek traci.
A któż nie wie, miły Boże!
Że najpiękniej w rannej porze?
Dziń! dziń! dziń!

Co za chłodek! blask i wonie!
Niechże próżno wam nie dzwonię.
Niech pofrunie całe stadko,
Rannych ptaszków wnet gromadką.
Dziń! dziń! dziń!

Na szynach drogi żelaznej.

Mała dzieweczka w biednem ubraniu, bosa, idzie w skwarze słonecznym przez puste, piasczyste pole; na plecach w ogromnej płachcie dźwiga dziewczynka paszę dla chorej krowy, uzbieraną daleko nad strumykiem; idzie uginając się pod ciężarem — napuchłe nogi poranione — pot leje się strumieniami z czoła, a język zapiekły usycha z pragnienia.

Dziewczynka chwiejnym krokiem idzie dalej, chociaż zniesione członki wypowiadają posłuszeństwo, a nogi bose stąpają jakoby po igłach. Przy drodze żelaznej zbacza ze ścieżki i idzie wzdłuż grobli kolejowej, która prosto ku wsi jest skierowaną. Już nie daleko wsi; widać już wieże kościoła — w domu wypoczynek i kubek chłodzącej wody.

Ale zniesione członki ustawają, zanim doszła do celu — zmęczona dziewczynka pada na groble tuż obok szyn kolejowych i usypia.

Wtem głuchy odgłos dochodzi z daleka, jakoby grzmot przytłumiony — to pociąg pospieszny, który we wściekłym pędzie się zbliża. Dziewczynka śpi spokojnie; nie słyszy łoskotu, nie widzi zbliżającej się i coraz się powiększającej lokomotywy, z której komina lekka unosi się para, nie czuje, jak ziemia drży pod nogami — śpi najspokojniej.

Nagle przeraźliwy krzyk daje się słyszeć; dozórca kolejowy, z czerwoną chorągiewką w ręku, biegnie z narażeniem własnego życia naprzeciwko pociągowi i macha chorągiewką na znak, że niebezpieczeństwo bliskie. Przeciągły gwizd przerywa powietrze pięćkrotnie, a lokomotywę zakrywa na chwilę gęsta para. Ziemia się trzęsie pod naciskiem gwałtem w swem pędzie wstrzymanego pociągu; machina bucha parą i sypie iskrami; wreszcie zgrzytając wstrzymywanemi kołami staje się posłuszną kierującemu nią maszyniście — pociąg stanął, życie dziecka ocalone.

Dozórca porywa dziecko i odrywa je od szyn, a pociąg pędzi dalej i w kilku sekundach znika na skręcie za pagórkiem. Dziewczyna rozespana patrzy, widzi z osłupieniem, co się stało i bełkoce słowa podziękowania.

— Nie mnie dziękuj, dziecko, — rzecze dozórca, — ale twojemu Aniołowi Stróżowi. Spostrzegłem cię w sam czas — jedna sekunda później, a koła pociągu byłyby cię zdruzgotały!

DZIEWCZĘ POLSKIE.

Gdybyś Ty mogła z jasnych na niebie
Wybrać gwiazdeczkę jedną dla siebie,
Którążbyś gwiazdkę wybrała?
Za tą by dusza moja goniła,
Coby najbliżej Polski świeciła.

A gdybyś chyżych dosięgła ptaków,
Co lecą śladem powietrznych szlaków,
Którebyś ptaszę wybrała?
Tę bym wybrała białą ptaszynę,
Co ukochała polską krainę.

A gdyby wyższych przeznaczeń siłą
Wybrać lubego wolno ci było,
Kogobyś sobie wybrała?
Temubym miłość moją święciła,
Któremu Polska nad wszystko miła.

ZAGADKA.

Jestem biała głowa, ale nie niewiasta;
Zamieszkuję w sklepie, gdy przyjdę do miasta;
Nie mam ust, języka, oczu, ani nosa,
Nie mam na swej głowie ni jednego włosa;
Ze swego kaptura w pychę się nie wznoszę,
A jak się nazywam, to zgadnijcie, proszę.